



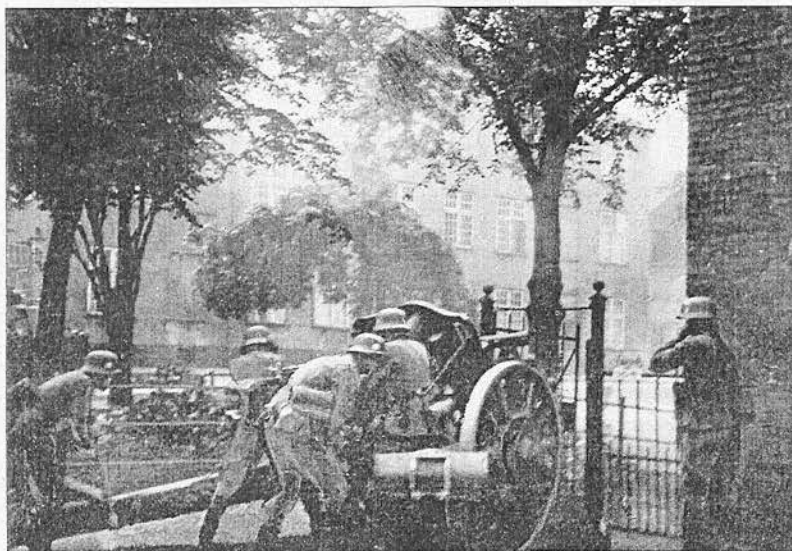
MUZELUM POCZTY POLSKIEJ W GDANSKU

DRUGA OBRONA POCZTY GDAŃSKIEJ

Historia rozpoczyna się od dwóch złych Niemców, a kończy na dwóch dobrych. Zli – to Hans Werner Giesecke oraz Kurt Bode, którzy w roku 1939 skazali na śmierć 38 obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku.

Dobrzy Niemcy to Michael Naumann i Dieter Schenk, którzy doprowadzili do rehabilitacji przez Sąd Krajowy w Lubece pierwszych dwóch pocztowców

TOMASZ EJTMINOWICZ



MUZELUM POCZTY POLSKIEJ W GDANSKU



U GÓRY:
OSTATNIE
ZDĘCIE
OBRONCÓW
POCZTY
POLSKIEJ.
ESESMAŃ
PROWADZĄ ICH
NA BISKUPIĄ
GÓRKĘ,
DO SIEDZIBY
GESTAPO

OD LEWEJ:
OSTRZAŁ POCZTY
PRZEZ ODDZIAŁ
POLICJI
NIEMIECKIEJ

WYPALONY
BUDYNEK
POCZTY

MUZELUM ARCHEOLOGICZNE W GDANSKU

Niemcy nikogo nie zrehabilitowali wcześniej w ten sposób – twierdzi gdański senator Leszek Lackorzynski, zaangażowany w sprawę pocztowców. – Te wyroki otwierają szansę uniewinnienia wszystkich ofiar niemieckich sądów wojskowych. Ich rodziny będą się mogły starać o odszkodowania od Niemców.

Zaczęło się w Los Angeles

1 września 1939 roku listonosz Leon Fuz bronił przed Niemcami Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku. Osiem dni później Wojskowy Sąd Polowy III Rzeszy uznał go za bandytę i skazał na rozstrzelanie. Razem z nim zginęło 37 pocztowców. Do dziś Leon Fuz formalnie pozostaje zbrodniarzem, choć w roku 1967 jego syn George poruszył niebo i ziemię, by świat dowiedział się, że bandytami byli ci, którzy skazali ojca – prokurator Hans Werner Giesecke oraz sędzia Kurt Bode.

Fuz pisał listy, podania i petycje. Do prokuratury w Lubecie, do niemieckich gazet. Ale prawnicy i dziennikarze nie zainteresowali się sprawą. Z wyjątkiem jednego. W roku 1969 do domu George'a a Fuza w Los Angeles zapukał Michael Naumann – wówczas młody dziennikarz z Monachium. – Dostałem od Fuza list, w którym opisywał obronę Poczty Polskiej. Akurat wtedy dojrzałem do tego, by dobrać się do skóry zbrodniarzom wojennym. Chciałem odnaleźć winnych Oświęcimia, Sachsenhausen – wspomina Michael Naumann. – Wielu z tych ludzi po wojnie nie ukarano. Byli wzorowymi obywatelami, demokraciami, udawali, że nie się nie stało.

Kryjówka był Szelewik-Holsztyn

Michael Naumann postanowił razem z George'em Fuzem odnaleźć katów polskich pocztowców. Dziś twierdzi, że kryjówkę można było z góry przewidzieć: Szelewik-Holsztyn. – Dzięki cichej protekcji władz nazisów znaleźli tam bezpieczną przystań – wspomina Naumann. – Nazizmem byli skalani niemal wszyscy urzędnicy: politycy, sędziowie, prokuratorzy, policjanci. Naumann i Fuz chodzili od sądu do sądu. Wreszcie w Bremie znaleźli Kurta Bodego – sędziego, który w 1939 r. skazał na śmierć 38 pocztowców. Rozmawiali z nim kilka godzin. – Wyszedłem z jego domu wstrząśnięty. Bode przekonywał mnie, że musiał skazać pocztowców, że nie miał innego wyjścia. Był cynikiem, we wrześniu 1939 roku doskonale wiedział, że działa wbrew prawu – opowiada Naumann. – Niestety, w latach 60. takich jak on nie sposób było skazać za morderstwo, w sądach bowiem zasiadali ludzie z tego samego pokolenia. Ostaniali swoich towarzyszy z lat nazizmu. Doktor Naumann jest dziś prezesem dwóch wydawnictw: niemieckiego Rowohlt i amerykańskiego Metropolitan Book. Przez lata publikował zakazane za żelazną kurtyną książki Havla, Michnika, Kołakowskiego. Trzy lata temu spotkał pisarza – Dietera Schenka. – Dzięki niemu po ćwierćwieczu zrealizowałem wreszcie swoje marzenie, mój hold dla Poczty Polskiej – opowiada. W roku 1995 Dieter Schenk napisał, a Michael Naumann wydał, książkę „Poczta w Gdańsku – historia pewnego mordu w imieniu prawa”. Przyczylna się ona do rozpoczęcia procesów rehabilitacyjnych pierwszych dwóch pocztowców: Alfonsa Flisykowskiego i Maksymiliana Cygalskiego.

Łaska późnego urodzenia

– To była dla mnie sprawa honoru. Przez lata panowało u nas przekonanie, że kto jak kto, ale sędziowie nie byli skalani zbrodniami nazizmu

– mówi Dieter Schenk. – A ja chciałem zdemaskować prawdziwych morderców. Zanim Schenk zaczął pisać „Poczta w Gdańsku”, przeszedł wszystkie szczeble policyjnej kariery. Był dyrektorem Sztabu ds. Kryminalistyki Urzędu Federalnego Niemiec, dyrektorem centrali Interpolu ds. kryminalistyki w Wiesbaden, doradcą MSW ds. handlu heroiną. Działał też w Amnesty International. – Kanclerz Kohl mówi, że moje pokolenie dotknęła łaska późnego urodzenia. Miałem osiem lat, gdy skończyła się wojna – opowiada Dieter Schenk. – Wszyscy jesteśmy jednak zaplątani w tamten świat. Zawsze zadawałem sobie pytanie, jak zachowaliśmy się w podobnej sytuacji, czy miałbym odwagę sprzeciwić się? Nie potrafię odpowiedzieć... – Gdy przeczytałem „Blaszany bębnek” Güntera Grassa – kontynuuję – byłem wstrząśnięty. Szczegółowe wrażenie wywarł na mnie opis obrony Poczty Polskiej. Przeraził mnie ten bezmiar okrucieństwa. Niestety Grass zniekształcił historię o pocztce, bo chciał uwypuklić absurdalność tych wydarzeń. Ja postanowiłem dojść prawdy. We wtorek do „Poczty w Gdańsku” Schenk pisze: „W moim mieszczańskim domu początek wojny był przywitany z troską, ale również z radością, jako powrót Gdańka do Rzeszy. Moi rodzice nie mieli nic wspólnego z nazizmem, ale ojciec był przeciwny traktatowi wersalskiemu, który oddzielił Gdańsk od Niemiec i nazwał go „Wolnym Miastem”.

Podróż do Saarboursa

Obaj – Michael Naumann i Dieter Schenk wiedzą, co znaczy wcześniej stracić ojca. Ojciec pierwszego zginął w roku 1942 pod Stalingradem, drugiego – zmarł w roku 1946 w obozie jenieckim. Przed wojną ojciec Dietera Schenka był policjantem we Frankfurcie nad Menem. W czasie okupacji przeniesiono go do Francji i wcielono do gestapo. Służył w Saarboursu w Lotaryngii. Dopiero po wielu latach Dieter Schenk dowiedział się o tym: – Świadomość, że pracował w gestapo była dla mnie ciężarem. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że mógł uczestniczyć w prześladowaniach, torturach. 30 lat po wojnie Schenk pojechał do Saarboursa: – Bałem się tego, co tam znajdę. Okazało się, że ojciec nie był uwikłany w żadne przestępstwa – był tylko małym trybikiem w maszynie. Dopiero gdy poznałem prawdę, mogłem się z nim pojednać. W roku 1994 Dieter Schenk zaczął prywatne śledztwo. Chciał dowiedzieć się, dlaczego pocztowców skazano na śmierć i jak potoczyły się kariery ich sędziów. Przeszukał 20 archiwów: w Polsce, Rosji, USA, Izraelu i NRD. Pomógł mu dr Naumann, który odtworzył swe rozmowy sprzed 25 lat z sędzią Bodem. W Gdańsku Dieter Schenk dowiedział się, że działa Koło Rodzin Pracowników Poczty Polskiej. Spisał losy kilkudziesięciu rodzin.

W pracy – listonosz, po pracy – sportowiec

– Ojciec od najmłodszych lat był niespokojnym duchem. Może dlatego zagnało go do Gdańska – opowiada Henryka, córka Alfonsa Flisykowskiego. – W czasie pierwszej wojny Prusacy wyrzucili go ze szkoły za działalność w tajnych organizacjach młodzieżowych. Potem brał udział w wojnie bolszewickiej, był w niewoli, uciekł. Po pierwszej wojnie Alfons Flisykowski skończył szkołę podoficerską w Zgierzu i jako rezerwistę wysłano go na gdańską pocztę. Przez 12 lat był zastępcą kierownika urzędu. 1 września dowodził obroną. Maksymilian Cygalski cztery razy

zmieniał mundur, zanim trafił do Gdańska. W listopadzie 1918 roku uciekł z armii pruskiej. Walczył w Powstaniu Wielkopolskim, wojnie bolszewickiej, III Powstaniu Śląskim. W roku 1927 jako rezerwistę przeniesiono go do Poczty Polskiej. Ellwardtowie mieszkali w Sopocie „od zawsze”: za Prusaków, w Wolnym Mieście i w PRL-u. Po Janie, który zginął na pocztce, pozostało trzech synów: Władysław, Stanisław i Mieczysław. Przed wojną w Sopocie było niewiele Polaków, więc bracia są dumni ze swoich korzeni. W roku 1939 Władysław miał osiem lat: – Pamiętam, jak w mieszkaniu na pierwszym piętrze dziadek wywiesił przed okno polską flagę. A taka długa była, że zasłaniała hakenkreutz Szkopowi z parteru, który go sobie przybił do ściany. Przez niego w czasie wojny dziadek miał kłopoty. Emilia Wiśniewska jest jedną z trzech żyjących jeszcze wdów po pocztowcach. Ma 94 lata, mieszka w Gdańsku-Zabiance, wielkim blokowisku, które w niczym nie przypomina Gdańska jej młodości. Miała 36 lat, gdy Niemcy rozstrzelali jej męża – Leonarda. Nie wyszła powtórnie za mąż. Mówi, że nikogo innego nie potrzebuje. Z dumą pokazuje Krzyż Virtuti Militari, który został przyznany Leonardowi pośmiertnie przez rząd w Londynie.

– W pracy on był listonosz, a po pracy – sportowiec. Biegła, strzelał, w szachy grał – Emilia Wiśniewska mówi szybko i twardo, wtrącając niemieckie słowa. – Gdańszczaninem był z dziada pradziada. We wszystkich organizacjach działał za Polską, choć go Niemce za Hitlera przez to prześladowali: bili, kamieniami rzucali. Ja! On za Polską zawsze był. Walczył, honor miał!

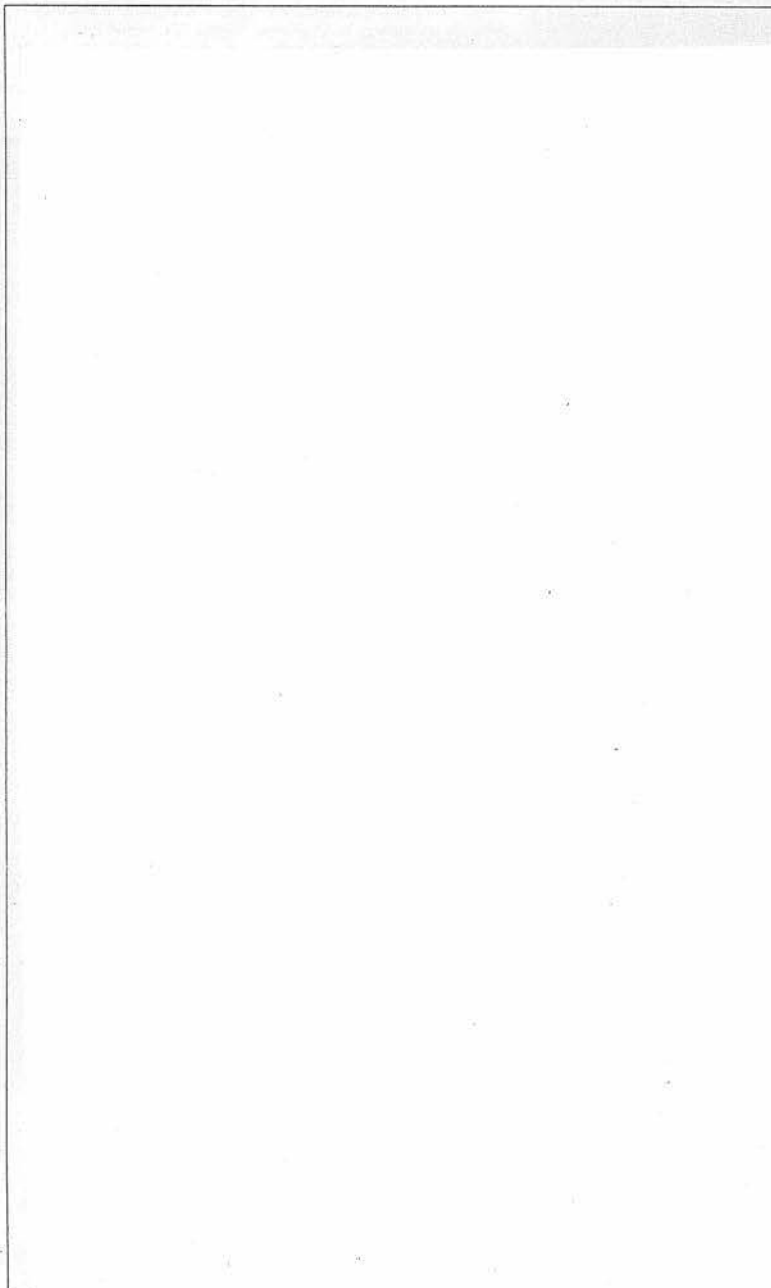
Szwajcarski korespondent się przeraził

W roku 1939, zgodnie z planem Sztabu Głównego Wojska Polskiego, pocztowcy mieli się bronić przez sześć godzin – zakładano, że tyle czasu będzie potrzebowało polskie wojsko, by dotrzeć z odsieczą z Gdyni. Dysproporcja sił była ogromna. Po jednej stronie 57 pocztowców, trzy ręczne karabiny maszynowe, 40 pistoletów, dwie skrzynie granatów, trzy skrzynie amunicji. Po drugiej dwa pułki policji – tzw. Wachsturmbann Eimann, jeden batalion SS – Heimwehr Danzig, dwa samochody pancerne, dwie haubice, miotacze ognia, pluton saperów z 600 kg dynamitu. – Tata pożegnał się ze mną dokładnie w moje pierwsze urodziny, ostatniego dnia sierpnia – opowiada Stanisław Ellwardt. – Mama mówiła, że akurat siedziałem na nocniku. Nigdy nie poznałem ojca... A mógł zostać...

– Mógł, ale poszedł – podkreśla z dumą jego brat Władysław. – Sasiad, też z pocztcy, udał chorego i został w domu. Ocalał. Nasz ojciec wiedział, co się święci, a mimo to poszedł na zatrucie. Wojsko polskie nie przyszło z Gdyni z odsieczą dla pocztcy, walka trwała nie sześć, lecz 13 godzin. Do kapitulacji. Dziennik Wojenny (Kriegstagebuch) XX Okręgu Wojskowego Gdańsk-Prusy Zachodnie Nr 1 poinformował: „Poczta Polska mogła być zajęta dopiero po ciężkich walkach w godzinach wieczornych. Budynec został przygotowany do obrony jak twierdza”... Dieter Schenk wykorzystał w książce materiały zebrane w roku 1969 przez dr. Naumanna. Odnalazł on świadka ataku na pocztę – Valtera Goratza, szwajcarskiego korespondenta wojennego. – Goratz widział, jak straż pożarna wpompowywała benzynę do piwnic pocztcy i jak potem Niemcy strzelali kulami świetlnymi, które zapaliły budynek. Widział płonących ludzi, dobijanych przez Niemców. Tak się przeraził, że zwymiotował – relacjonuje dr Naumann.

Ostatnie zdjęcie w chevroletcie

Stefania Koziarowska, córka Maksymiliana Cygalskiego, zdejmuje ze ściany przedwojenną fotografię. Ro-



dzinne zdjęcie zrobione w Kartuzach na Kaszubach. Ojciec, matka i wujkowie. Siedzą w eleganckim chevroletcie, model 1936. Wszyscy zaszczęśli Cygalskim tego samochodu. To jedno z ostatnich zdjęć ojca.

Następnie zrobili mu już Niemcy po kapitulacji poczty: Cygalski stoi pod ścianą w szeregu kilkunastu ludzi z rękami na głowach. Czekała na śmierć.

Po kapitulacji przewieziono pocztowców do Prezydium Policji przy Alfschoffland Strasse. Trzy dni później trafili na Der Bischoffs-Berg, do siedziby gestapo. Oba potężne budynki stoją do dziś. W Prezydium Policji przy dzisiejszej ul. Okopowej jest UOP. W siedzibie gestapo na Biskupiej Górze – Komenda Wojewódzka Policji.

– Gdy codziennie mijam te budynki, przechodzą mnie dreszcze. Myślę o ojcu – mówi Edmund Klimek, syn pocztowca Jana Klímka.

8 września pierwszych 28 obrońców stanęło przed Sądem Polowym III Rzeszy. Rozprawę prowadził porucznik rezerwy dr Kurt Bode, wiceprezydent Senatu Cywilnego Wyszego Sądu w Gdańsku. Oskarżał dr Hans Werner Giesecke – radca sądu wojennego z brygady gen. Eberhardta, dowodzącego wojskami Wehrmachtu, które atakowały Westerplatte.

Pocztowcy odpowiadali na podstawie par. 3 ust. 2 rozporządzenia z 26 VIII 1939 r. o Specjalnym Prawie Karnym Czasu Wojny (KSSVO), jako „osoby stawiające samowolnie opór Wehrmachtowi”. Prawo to karało partyzantów śmiercią.

Alojzy Swiniarski – pocztowiec, który ocalał, gdyż nie brał udziału w walce, opisuje proces: „Przybyło kilku oficerów [...] jeden z nich siadał za stołem. Według sporządzonej listy przywołują kolejno pocztowców do stołu i stawiają pytania: »Miałeś broń? Strzelasz? Kto strzelał?«. Każdy z wezwanych odchodzi z wyrokiem śmierci”.



MUSEUM POCZTY POLSKIEJ W GDAŃSKU

Śmierć za kradzież kurtki

– Im bardziej wgłębiałem się w dokumenty, tym bardziej wzrastało we mnie oburzenie – mówi Schenk. – Nawet w świetle wówczas obowiązującego prawa nazistowskiego, jeśli w ogóle można je nazwać prawem, obrońcy poczty nie powinni być skazani.

Gdy w roku 1969 dr Naumann odnalazł sędziego Bodego, rozmawiali przede wszystkim o tamtym procesie. Z tych rozmów Schenk odwozrzył w książce przebieg procesu.

– Bode znał konwencję haską i wiedział, że pocztowcy mieli prawo do obrony – twierdzi dr Naumann. – Mieli dowódcę i bronili budynku będącego pod suwerenną władzą Polski. Wiedział, że nie atakował ich Wehrmacht, tylko policia, której normy międzynarodowe odmawiały prawa do walki.

– Gdy już skompletowałem wszystkie materiały, zrobiłem coś, czego dziennikarz nie powinien robić. Wyślałem dokumenty do dr. Nehma, prokuratora generalnego Szlezwicka-Holsztynu, z wnioskiem o ściganie Bodego – opowiada dalej dr Nau-

mann. – Prokurator wszczął postępowanie, ale po roku umorzył je z braku dowodów.

Do roku 1978 prokuratura dziewięć razy wszczyła postępowanie przeciwko Kurtowi Bodeemu i Hansowi Wernerowi Gieseckemu (na wniosek rodziny innych osób przez nich skazanych) i dziewięć razy umarzała je. W żadnej ze spraw nie udało się udowodnić, że w czasie wojny któryś z nich działał wbrew prawu.

W swej książce Schenk pokazał, że gdańskie wyroki na pocztowcach były dla nich tylko początkiem kary. Kurt Bode w latach 1942–43 wydał 224 wyroki śmierci, np. „za kradzież kurtki skórzanej”. Hans Werner Giesecke – co najmniej 40, np. za „kradzież 10 opon samochodowych”.

Ale nie mogłem poznać kto to

– To jest najstraszniejszy dokument, jaki czytałem w życiu – Stefania Koziarowska wyjmuje z szuflady relację sierżanta Michała Gawlickiego i sierżanta Michała Blukisa, żołnierzy z Westerplatte, którzy wzięli pocztowców na Biskupiej Górze w gestapo.

1 WRZEŚNIA

1939 ROKU.

PLAC

HEWELIUSZA.

W TLE

PLONĄCY

BUDYNEK

POCZTY POLSKIEJ

„Nie byli to zwyczajni ludzie, byli to już kukły (przepraszamy za porównanie), obandażowani brudnymi i pokrwawionymi szmatami. Wszyscy stali rozebrani do pasa [...] ciała ich pokrywał jeden siniec (granat) oraz rany, które nie mieli czym owinać”... [pisownia oryginalna]

– Gdy pierwszy raz to czytałem, dośladłem do tego miejsca i rozplakałem się. Minęło kilka dni, zanim wróciłem do tych zeznań. A najgorsze było dalej, bo pisali o moim ojcu.

„Gdy przechodziliśmy obok nich, posłyszałem głos z tej grupy nie-szczęśliwców: »Michał«. Spojrzałem dowidzieć się, kto mnie woła [...] Padliśmy sobie w objęcia, zalepiłem się łzami, ale nie mogłem poznać z wyglądu zewnętrznego, a nawet po głosie, kto to jest. On pierwszy wymienił swoje nazwisko, a był to kolega Cygalski...”

Michael Naumann: – Jak w takiej sytuacji taki prawnik jak Bode miał czelność stwierdzić, że ktoś się do czegoś dobrowolnie przyznał?

Denazyfikacja jak przerywanie buraków

Przepisy denazyfikacyjne wydane w roku 1945 dożywotnie pozbawiały prawa do piastowania stanowisk publicznych członków hitlerowskiej administracji oraz osoby biorące udział w nazistowskim aparacie represji. Jednak Bode i Giesecke przeszli weryfikację i nadal pieli się po szczeblach sądowej kariery.

W „Poczcie w Gdańsku” Schenk pisze: „Denazyfikacja przebiegała według modelu przerywania buraków. Trzeba wyrwać dwa małe, by zostawić jeden duży, bo wyrosnie na dużego buraka i może się jeszcze przydać”. – To była farsa. Bardzo szybko zorientowano się, że w Niemczech potrzebni będą starzy naziszi jako fachowcy w gospodarce, sądach, policji. Dlatego Giesecke i Bode łatwo umknęli wymiarowi sprawiedliwości – komentuje Schenk.

Kurt Bode w roku 1955 został prezydentem Senatu oraz wiceprezyden-

tem Wyszego Sądu Krajowego w Bremie. Zmarł w 1979 r., jak pisze Schenk: „do końca życia powszechnie szanowany i wychwalany”.

Hans Werner Giesecke w roku 1954 „składa kłamliwe oświadczenie dotyczące wojennej przeszłości”. Awansuje na dyrektora Sądu Krajowego we Frankfurcie nad Menem. Umiera w roku 1971. „Do końca życia był dumny, że należał do wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Podkreślał, że także w III Rzeszy mógł postępować tak, by prawo było obiektywne i sprawiedliwe” – pisze w książce Schenk.

Portret Kurta Bodego zdjęto ze ściany sądu w Bremie dopiero kilka miesięcy temu, po opublikowaniu książki Schenka.

Może wdział, jak stałyśmy w oknie?

Wieczorem 8 września przyjechały po pocztowców dwie ciężarówki i limuzyna. Pocztylion Swiniarski, który uniknął śmierci, opisał: „Majewskiemu nie pozwalają zabrać kawałka chleba, którego nie zdążył zjeść na kolację [...] Przech okno widzę, jak [...] odjeżdżają”.

Tego dnia Emilia Wiśniewska była blisko mego. Widziała, jak go wzięli na rozstrzelanie: – Pamiętam, jak jechały ciężarówka na Zaspę. Jedna za drugą. A potem z tamtej strony tylko słyszaliśmy takie pach, pach... Mówię do córki: oni ich wzięli, a teraz ich strzelają. Może ojciec nas nawet wdział, jak stałyśmy w oknie?!

Poczta: nie pracuje – nie ma mieszkania

Skończyła się wojna. Los nadal nie oszczędzał rodzin pocztowców. Ellwardtowie twierdzą, że doświadczony tyle samo złego od Niemców, co i Polaków: – Jak już przyszli ci wyzwoleńcy, wyrzucili nas z pocztowego mieszkania w Gdyni – opowiada Władysław. – Tłumaczyliśmy, że ojciec był pocztowcem i zginął za ojczyznę. A oni na to: „Ojciec nie pracuje, więc prawa do służbo-

wego mieszkania nie ma". Po-tem zaczęły się szkany: – Cały ten bardak ze zmianą nazwiska, bo na nasze krzywo patrzyli, że niby nie-mieckie, bo przez dwa el, de i te. Ale zostaliśmy przy oryginalnym. Rodzina była bez ojca, matka chora. Włodzimierz był jedynym żywcie-mem. Rozwoził mleko, bułki, potem zatrudnił go w zakładzie energje-tycznym. W dzień pracował, wie-czorem chodził do szkoły. Uczyl się na elektryka.

– Tylko chleb jedliśmy. Mama sypa-ła go cukrem, żeby choć trochę słod-kiego dzieci miały. Albo ceres je-dliśmy. Taki rarytas – pół margary-ny, pół loju – wspomina Stanisław. Ellwardtowie nie mają już żalu do Niemców („chyba że do Bodego”). Mają żal do Polski, bo zapomniała, że ojciec zginął za ojczyznę. Zapom-niała o nich nawet poczta.

– 16 lat czekałem na telefon. Dzie-siątki odwołań, pism, podań. W koń-cu, dwa lata temu założyli mi ten te-lefon z 50-procentową ulgą. Zamiast 400 złotych, zapłaciłem 200 – opo-wiada Władysław. – Poleciałem do Mietka, drugiego brata, i mówię: „Pisz Mietek na pocztę, może ci też dadzą ulgę”. Wie pan, co mu odpisa-li? Ulgi nie będzie, a jak chce, to mu mogą rozłożyć spłatę na raty, na pro-cent, tak jak każdemu. Tyle dosta-liśmy od poczty za ojca.

Bohaterowie są martwi

Henryka Flisykowska: – Parado-k-salnie, wiele rodzin pocztowców wyjechała po wojnie do Niemiec. W Polsce nie mogli znaleźć miejsca.

– Przez 45 lat byłem traktowany jak obywatel drugiej kategorii – opo-wiada Brunon Bela, syn listonosza Alojzego Béli. – Nie mogłem zna-leżać pracy tylko dlatego, że urodzi-łem się w niemieckim Gdańsku. I ja mam się ze Szkopami procesować o honor, jak swoi mnie nie chcieli? Edmund Klimek: – Gdy po wojnie poszedłem do prezydium z poda-niem o mieszkanie, powiedzieli mi, że nie dostanę, bo ojciec walczył za sanację.

Jako pierwsza wyjechała z Gdańska do Niemiec rodzina Jana Rogaczew-skiego. Niemiecki sąd zrehabilito-wał go w roku 1961. Uznał, że był niewinny, bo „jako urzędnik miał obowiązek bronić poczty”.

„Rodzina R. nie chce, by ich nazwi-sko było znane. Nie chcą mówić o historii. Uważają, że bohaterowie są martwi i należą ich zostawić w spo-koju. Dzieci Jana R. tłumaczą, że ich matka była Niemką, a one są Niem-cami [...]. Tylko im udało się uzy-skać od rządu Niemiec odszkodowa-nie” – czytamy w książce Schenka.

W Gdańsku nie było kary śmierci

Książka Dietera Schenka odbiła się w Niemczech głośnym echem i wy-wołała dyskusję na temat hitlerow-skiego wymiaru sprawiedliwości. Schenk i Naumann postanowili pójść za ciosem. W połowie roku 1995 rehabilitacją obrońców Poczty Polskiej zajął się Sąd Krajowy w Lu-bece. Dr Naumann opłacił adwoka-tów. Wystarczyła jedna rozprawa, by oczyścić pocztowców ze wszy-stkich zarzutów.

W uzasadnieniu wyroku z 30 grud-nia 1996 roku, uniewinniającego Alfonsa Flisykowskiego, czytamy: „Obrońcy Poczty Polskiej nie użyli broni ani przeciw Wehrmachtowi, ani żadnej sile z nim związanej, ponie-waż atak podjęty został przez poli-cję i dopiero w ciągu dnia wzmoc-niony przez jednostki SS”.

Adwokaci przekonali sąd, iż Bode nie mógł zastosować prawa wojen-nego (KSSVO), ponieważ dotyczyło ono jedynie Wehrmachtu. Pocztow-cy nie walczyli z wojskiem, lecz z policjantami. Wprawdzie grupa Eberhardta (oddział Wehrmachtu szturmujący Westerplatte) pozosta-

wiła do dyspozycji dwie haubice po-łowe, ale pod pocztą obsługiwali je policjanci. – Z wojska był tam jedy-nie batalion pionierów, którzy ryli tunel pod pocztą, by ją wysadzić. Obrońcy nie mogli ich zobaczyć, bo żołnierze cały czas byli pod ziemią – uzupełnia Henryka Flisykowska.

Z uzasadnienia wyroku: „Za bez-prawne należy uznać, że Sąd Wojen-ny ocenił zachowanie pocztowców w oparciu o przepisy KSSVO, które [...] nie obowiązywało 1 IX 1939 r. w Gdańsku”.

– Gdańsk był wolnym miastem i miał własny kodeks karny, który nie prze-widywał kary śmierci – tłumaczy Stefania Koziarowska.

– Ten proces był kuriozalny. Nasi rodzice walczyli za ojczyznę, a teraz rodzice walczyli za ojczyznę, czy mie-li do tego prawo, czy nie. Żeby prze-konać sąd, musieliśmy powołać się

na szereg kruczków formalnych. Ale innego wyjścia nie było – opowiada córka Alfonsa Flisykowskiego.

– Co tu dużo gadać. Ci dwaj Niemcy odwalili za nasz sejm, senat, prezy-denta i rząd kawał dobrej roboty – mówi Edmund Klimek, syn pocztowca Jana Klimka.

– Jednej rzeczy żałuję. Giesecke i Bode umknęli ziemskiej sprawied-liwości – mówi Schenk.

W niebie są za pocztowców

Stefania Koziarowska nie wierzy-ła, że sprawiedliwość zwycięży: – Przed kim mieliśmy udowad-niać niewinność ojca? Przecież nie-zgodny z prawem był cały napad na Polskę. Żadne prawo nie sankcjo-nowało obozów. Myśleliśmy, że w tym wielkim bezprawiu wylus-kanie naszej krzywdy będzie niemo-żliwe.

Senator Lackorzyński uważa, że po-cztowcy musieli czekać na zadość-uczynienie przez pół wieku, ponie-waż nikt formalnie nie zakończył drugiej wojny światowej: – Do dziś brakuje traktatu pokojowego, który jednoznacznie przekreśliłby wszy-stkie niegodziwości wyrządzone w majestacie zbrodniczego prawa. Być może niedługo zostaną zrehabi-litowani kolejni pocztowcy.

– Zebraliśmy już podpisy piętna-stu rodzin. Czekamy na odpowiedź trzech z Niemiec i wysyłamy wnioski do Lubeki. Pan Naumann już nam obiecał, że opłaci wszystkich adwo-katów – mówi Stefania Koziarow-ska, wiceprzewodnicząca Koła Rod-zin Pracowników Poczty Polskiej. Edmund Klimek: – Honor honorem, ale nie ma co ukrywać, że gdy unie-winnią wszystkich, jakieś odszkodo-wanie będzie się należało.

– Może by choć na trumnę starczy-ło – mówi Włodzimierz Ellwardt. Henryka Flisykowska zapowiada, że nie będzie dochodzić odszkodowa-nia od Niemców. – Przed wojną ro-dzice kupili mająteczek pod Koście-rzyną. 70 hektarów lasu. Tyle wtedy zarabiał szef poczty. Po wojnie pań-stwo nam to zabrało. I ja mam do Niemców wyciągać ręce? Żeby so-bie za marki ten las odkupić? Emilia Wiśniewska też chyba nie bę-dzie dochodzić odszkodowania. Ma 94 lata i żyje we własnym świecie, wśród obrazów świętych i Najświęt-szej Panienki. Gdy patrzy na księżyc, widzi tam swojego Leonarda. – Oni tam w niebie też chodzą w mundurach i za pocztowców są – tłumaczy. □

Wykorzystałem m.in. materiały z książki Antoniego Świtalskiego pt. „Zbrodnia usankcjonowana”, Ossolineum 1979. Dziękuje pani Stefani Koziarowskiej za pomoc w zbieraniu materiałów